MIASTA ŚREDNIOWIECZNE.

(Dokończenie).

W jednéj niemieckiéj powiastce w XIV w. przy opisie bogactw i osobliwości jakiegoś zamku jest powiedziane, że miał okna ze szklannemi szybami, gdyż wówczas należało to jeszcze do wielkich osobliwości. Jeszcze w XVI wieku podziwiają mieszkania, w których, we wszystkich oknach są szyby; gdy w Anglji za królowéj Elżbiety kto sprzedawał dom, to razem z meblami zabierał szklanne okna. Najpierw były to drobniutkie szybki, oprawne w kwadratowe lub ośmiokątne ramki ołowiane. Najzwyczajszym sposobem zamykania okien były klapy drewniane, które się otwierały na zewnątrz lub na wewnątrz. Chcąc mieć materjał cokolwiek przezroczysty, używano pargaminu, papieru napuszczanego olejem, rogu cienko łupanego, lub też tkanin rzadkich. Bardzo zwyczajna, szczególniéj na południu, była prosta krata drewniana, która łatwy przystęp wiatrowi dawała. W zimie zatem musiano utrzymywać ciągły ogień. Ażeby mieszkanie ochronić od deszczu lub śniegu, dawano nad oknami daleko wystające klapy. Klapy te i kraty zachowano jeszcze, chociaż szkło weszło w użycie. Dopiero w XVI w. zaczęto je zarzucać i wtedy fizjognomja domów znacznie się zmieniła.



Damy przypatrujące się turniejom.
(rysunek zdjęty z malowania na drzewie przechowanego w muzeum Monachijskiem).

Drzwi były proste, lub bogato rzeźbione, służyły za największą ozdobę domu. Parę schodków zwykle doń prowadziło. Ryglowano je mocno od wewnątrz, kto chciał wstępu ten stukał młotem u nich będącym. Na boku drzwi, pod domem, stała zwykle drewniana lub kamienna ławka, gdzie szukano świeżego powietrza wyszedłszy z dusznych pokoi; tam często widziano starców grzejących się na słońcu, lub ubogich czekających na jałmużnę. Tam też podróżny zgłodniały dostawał posiłek z rąk miłosiernych. Po nad drzwiami był herb mieszkańców, albo też znak od którego dom wziął swoje nazwisko. Pod nazwami domów znajdowały się często jakieś przysłowia, lub zdania moralne, jak np: francuzkie: *Rends le bien pour le mal*, niemieckie: *Dies Haus steht in Gottes Hand, zur rothen Fahn ist es genannt.* Nie dawno zwalono w Warszawie przy ulicy Głębokiéj domek, na którym znajdował się następujący napis:

Dałeś mi Boże z Twéj Opatrzności,
Dajże i temu, co mi zazdrości.

Te dewizy wszakże należą już do schyłku średnich wieków. W XV wieku zaczęto pokrywać zewnątrz domy malowaniami, biorąc treść z historji świętéj lub świeckiéj. Nie było to jednak rzeczą pospolitą, jakkolwiek w niektórych miastach niemieckich szczątki tych malowań widzieć możemy. Około tego samego czasu zaczęły pojawiać się bruki, dotąd bowiem ulice miast, były albo kałużami błota, albo smugami piasku, na których ciągły kurz się wznosił. U nas w Warszawie, jeszcze w XVIII wieku ulice były po większéj części brukowane cegłami, które wozy i konie ścierały i ztąd powstawał kurz czerwony

i stokroć większe błoto podczas deszczu. Porządniejsze brukowanie ulic Warszawa winna marszałkowi Bielińskiemu.

O wodzie pamiętano bardzo. Każdy prawie dom miał swoją studnię, źródła na placach ozdobione były prześlicznemi pomnikami. Skoro dzień zaświtał, dzwony z wież oznajmiały jego początek, albo też stróż nocny dawał znać o nim trąbą z ratuszowéj wieży. I wkrótce ulice ożywiać się zaczęły. Najpierw dawały się słyszeć ptaki, które licznie po domach chowano. Otwierały się bramy miasta i zaczynano wypędzać bydło na paszę a z zewnątrz przybywali wieśniacy z różnemi artykułami żywności. Lecz przed bramą na moście, jeżeli tam była rzeka lub fossy, zatrzymywał przybywających poborca myta. Siedział on zwykle na krześle na wolnem powietrzu, lub też w czasie niepogody pod daszkiem, opartym na 4-ch słupkach, a przed nim był stolik. Prawą rękę wyciągał do odbioru pieniędzy, w lewéj trzymał woreczek skórzanny. Tam zjawiały się wiejskie piękności ze spadającemi na ramiona warkoczami, z koszem pełnym mleka, jaj, lub drobiu na głowie, tam widziano obładowane osły lub dwukołowe wózki z jarzynami ciągnione przez ludzi. Dajmy im dociągnąć aż do placu targowego, gdzie na nich czekają gosposie. Jest to zwyczajny obraz, który z małemi odmianami po dziś dzień się powtarza. Na sklepach olbrzymich ogłoszeń nie było, a rekomendowano się tylko dobrocią towaru; każdy mieszkający w mieście, wiedział gdzie szukać czego, na przyjezdnych nie było co rachować. W szczególniejszych razach, gdy chciano o czemś uwiadomić publiczność, wykrzykiwano o tem na placach miasta. I tak: utrzymujący kąpiele wysełali swoje sługi, aby wołali, że woda jest gorąca i wszystko do kąpieli gotowe. I wnet biegli ludzie bogaci i ubodzy na w pół prawie rozebrani, bez pasa i obuwia. Tak wielką była potrzeba kąpieli w średnich wiekach, że jéj nikt prawie sobie odmówić nie mógł. Tego samego środka używali także sprzedający wino i często widywano gospodarza na progu jego mieszkania, wykrzykującego gromkim głosem o zaletach swego wina.

Policja czuwała nad temi wszystkiemi handlami, ale nie tylko na sprzedaż produktów zwracała oko. *Ojcowie* miasta mieszali się we wszystkie interesa, nawet najbardziéj osobiste. Przepisywali każdemu stanowi ubiór i oznaczali długość i kosztowność sukien, gatunek materji i ozdób, kolor ich i krój. W czasie mody ogonów mogło się zdarzyć damom, że były zaprowadzone w obec wszystkich do ratusza, i tam musiały zezwolić, żeby ich suknie publicznie mierzono, czy były tylko tak długie, ile prawo pozwala. W średnich wiekach lubiono wszystko robić otwarcie, dla tego też ulica miała daleko większe jak dziś znaczenie. Nawet sądy w niektórych wypadkach publicznie na placu się odbywały. W Bazylei wysoka lipa otoczona ławkami, oznaczała miejsce sądów publicznych. Tam przyprowadzano występnych małżonków, krzywoprzysiężców, lichwiarzy, wszystkich tych co nie święcili niedzieli i karcono ich także publicznie. Był pręgierz, szubienica, kajdany, klatka żelazna. Taka klatka stała u nas na Starem-Mieście dla niesumiennych rzeźników, gdzie ich sadzano z kawałkiem mięsa w ręku. Kobiety płochego życia pędzano przez ulice, nie troszcząc się o uczucie wstydu, jakie rodzić musi taka kara publiczna. Oprócz kar strasznych, odbywano także publicznie kary śmieszne, jakiemi odznaczały się te czasy pełne humoru. Do tych należało jeżdżenie na ośle mężczyzny, który się dał obić swéj żonie.

Inaczéj zupełnie wyglądały części miasta, zamieszkane przez szlachtę albo przez bogate kupiectwo. Interesa kupca odbywały się przy stole i dla tego u niego bywało cicho. On także lubił rycerskie zabawy, turnieje i polowania, jakie zdarzały się nie co dzień. Gwarno więc tam było, tylko w czasie wielkich uroczystości; karety nie przesuwały się tak jak dzisiaj po ulicach, rzadko kiedy ciężka kolasa zwiozła do domu z podróży żeńską część rodziny. Za to można było widzieć często mężczyzn i kobiety na koniu, bo i kobietom wypadało jeździć wierzchem.

Gdy pan radny jechał na ratusz na sessję, zwykł dla własnéj powagi jechać konno i brać za sobą pachołka, aby od niego konia odebrał; lecz we zwykłych stosunkach chodził pieszo tak dobrze jak jego żona. Do kościoła i w blizkie odwiedziny szły zwykle piechotą bogate damy i mieszczanki. Zwyczaj wymagał, aby miały koniecznie na sobie długi płaszcz z lekka go podnosząc na przodzie, żeby oczy spuszczały, a nie wodziły niemi na prawo i lewo, żeby nie przypatrywały się nikomu, odpowiadając na ukłony skinieniem głowy. Lecz w XIV i XV wieku skromność i czystość obyczajów nie była bynajmniéj panującym przymiotem miejskich mieszkańców; patrycjusze augsburscy byli już tak dumni, że idąc do kościoła brali z sobą do 40 uzbrojonych pachołków. Kobiety w piętrowych czepcach, z odkrytą piersią, wysznurowaną talją, wlokły za sobą długie ogony sukien i otwarte rękawy, które aż do ziemi sięgały. Nawet najzacniejsze kobiety nie śmiały obchodzić się bez zbytkowych ubiorów i niezmiernie tem dokuczały mężom i ojcom. Mężczyzni znów ubierali się w kaftaniki i spodnie obcisłe aż do nieprzyzwoitości, nosili u trzewików wielkie nosy, fryzowali włosy. Kto chciał uchodzić za coś znakomitego obwie-

szał się łańcuszkami, dla tego też mówiono o panach, że idą z brzękiem. Suknie ich były zwykle pstrych kolorów i przedstawiały najdziwaczniejsze rysunki. Z rzemieślnikami także tak źle nie było, aby każdy o ile mógł nie naśladował panów, i zwierzchność miejska miała wiecznie z niemi o to sprawę. Więc też panowie czeladnicy równie pstro się nosili, i przed szynkami, oraz przed gospodą swoją, różne wyrabiali figle. Szlub którego z cechowych dawał powód do hałaśliwéj processji, a te bywały czasami tak liczne, że zwierzchność musiała się w nie mieszać i dozwalać nowożeńcowi osobnym przepisem mieć 24 drużbów a narzeczonéj ośm. Kobiety stroiły się w co miały najkosztowniejszego, aby zwracać uwagę. W niektórych miejscach odbywano tańce publiczne. Równie liczne były pogrzeby, kto bowiem spotkał pochód, łączył się do niego, żeby zmówić pacierz za nieboszczyka. Po pogrzebie szli wszyscy na stypę sprawianą przez dzieci lub krewnych. Gdy zaś umarł jaki pan, dzwony biły we wszystkich kościołach, a rycerze otaczając trumnę nieśli herby i zbroje zmarłego.

Młodzi panowie nie mający nic do czynienia, przechadzali się ciągle po ulicach rozmawiając, śmiejąc się i kłaniając młodym mieszczankom.

Ciasnota mieszkań czyniła upragnioném świeże powietrze, dla tego też w głębokości grubych murów zaczęto robić ławki, które późniéj na piętrach przemieniały się w ganeczki. Z tych okien damy przypatrywały się turniejom i spoglądały mile na przechodzących, jak to widzimy na rycinie pierwszéj stronnicy.

Żebractwo było liczne; processje pobożne przeciągały po ulicach, studenci prosili o wsparcie, śpiewając, i ci nawet co byli przy zakładach naukowych, klasztorach, oraz służyli na chórze, ponieważ musieli prawie sami myśleć o swojem utrzymaniu, używali zatem różnych sposobów dla obudzenia miłosierdzia. Śpiewanie kolęd było najlepszem dla nich żniwem. Miewali także processje w dzień Ś-go Mikołaja, w którym przebrani za djakonów zbierali podatki, niby to dla biskupa, słowem zawsze jakieś widowisko bywało na ulicy. Często też publiczne kazania lub mowy sprowadzały tłumy. Jakiś mnich ożywiony kaznodziejskim duchem wchodził na kamień lub na inne jakie wywyższenie i powstawał na grzechy, któremi ludzkość się plami... Oskarżał żydów, piorunował na zbytek w ubiorach, na wysokie czepce i długie ogony kobiet, na obcisły ubiór mężczyzn. Często bywał wyśmiany i wyszydzony, ale czasem umiał rozognić młodzież takim zapałem, że chcąc zaprowadzić reformy, zabierała się do zdzierania odzieży najzacniejszym kobietom, i te ledwie się mogły od napaści uchronić. Jeżeli z tego wielkie wynikało zgorszenie, rada miejska wyganiała nieproszonego reformatora za miasto. W innem miejscu żyd przemykał się cicho przez ulicę, ale oto zdradził się spiczastym kapeluszem lub brodą i zaledwie mu się udało uciec przed napaścią złośliwego tłumu. Tylko w oddalonych zamkniętych łańcuchami uliczkach gdzie mieszkał ze swymi współwyznawcami, mógł znaleść spokojność. Gdzie indziéj znów zbiegało się pospólstwo do piekarza, który swój sklep na wózku, zatoczył na róg jakiego domu. Gdzie indziéj przypatrywano się kuchni, założonéj na prędce na świeżem powietrzu, gdy bowiem jaka gospoda napełnioną została gośćmi, gospodarstwo zakładali ogień pod gołem niebem i tam piekli gęś lub prosięta. Lecz oto krzyk odwołuje uwagę publiczną w inną stronę. Tam obcą kobietę, włóczęgę, przy odgłosie trąb wyganiają, ćwicząc za miasto.

Średniowieczność miała zupełnie odmienne niż my o przyzwoitości pojęcia i robiły się publicznie rzeczy, o których dziś nawet pisać byśmy nie śmieli. Np: na uroczyste wjazdy książąt, miasta, chcąc ich uczcić przedstawiano ich oczom szczególne obrazy. Gdy Henryk VI angielski r. 1441 wjeżdżał do Paryża, uroczysty pochód zatrzymał się na ulicy Ś-go Dyonizego przy basenie, na którym pływały trzy obnażone dziewice naśladujące syreny; w pośrodku umieszczona była ogromna lilja, z któréj kwiatów wytryskało wino i mleko i każdy je pił, kto tylko mógł dosięgnąć. W Antwerpji na przyjęcie Karola V, wystąpiła, między innemi widowiskami, gromada panien najzamożniejszych i najpiękniejszych, odzianych jedynie gazowemi sukniami.

Takie wjazdy panujących lub książąt były uroczystością dla miasta, które się wtedy stroiło w chorągwie i dywany od dachów do ziemi. Ulice starannie zamiecione, posypywane były kwiatami, w niedostatku to i słomą, w bogatych zaś miastach jak w Paryżu, nieraz pokrywano je suknem. Na placach wystrojone w girlandy fontanny, tryskały winem, mlekiem i miodem. Wszystko było na nogach. Kobiety w najpiękniejszych strojach napełniały okna i balkony, cechy zgromadzone pod swemi chorągwiami usuwały z ulic ubóstwo. U bramy miejskiéj, na wieży, umieszczona muzyka dawała znać z wielkiem trąbieniem i hałasem, że się pochód zbliża, potem ucichła a natomiast zaczynały śpiewać dzieci ubrane biało. Burmistrz na haftowanéj poduszce podawał klucze miasta przybywającemu, a dwa sztuczne aniołki spuszczając się z wieży, kładły mu wieniec na głowę. Temu wszystkiemu towarzyszył wielki okrzyk pozdrowienia zgromadzonego ludu i gość postępował daléj

otoczony strojnemi damami, rycerzami, paziami, łowczemi swemi, którzy trzymali na ręku sokoły. Od czasu do czasu spotykała ich jakaś niespodzianka, to przemowy, to allegoryczne postacie, to biało ubrane dziewice z kubkami wina w ręku, które według upodobania podawały przybywającym. Gdy nareszcie wysoki gość przybył do miejsca wypoczynku, wesołość ludu granic nie miała. Często już i noc zapadła, a uroczystość trwała jeszcze, wtedy rozpalano ognie po ulicach, pieczono, jedzono, spijano wino, którego dostarczały fontanny.

Najdzikszy obraz zamieszania przedstawiały ulice w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkiéj nocy, wtedy bowiem każdy miał prawo być szalonym i ci co cały rok byli gnębieni na różny sposób, pozwalali aobie w tych dniach udawać panów. Niższych brała ochota zażartować z wyższych, albo przynajmniéj ubawić się kosztem ich worka. W noc Bożego Narodzenia, wszystko co żyło wybiegało na ulice, młodzi i starzy, krzyczeli, przebierali się, to za kozłów, to za djabłów, stukali do drzwi domów, wpadali tam, przewracali naczynia, bili ludzi, nie troszcząc się bardzo o wartę, która przybywała z halabardami dla zrobienia porządku. Te sztuczki powtarzały się jeszcze gwałtowniéj w czasie Wielkanocy; napadano przechodzących, usiłowano poczernić im twarze sadzą, wywłóczono ludzi z domu, dla sprawienia im *śmigusu* przy fontannach. Od tego traktamentu można się było tylko okupić pieniędzmi. Rada miejska, zwykła była wtedy puszczać wiele mimochodem, ale czasem jéj już cierpliwości brakło. W owe czasy panowało szczególne zamiłowanie do przebierania się i każda uroczystość dawała do niego powód, albo też były na to naznaczone pewne dnie roku, i tak: w jednem mieście niemieckiem, wszyscy mężczyzni, starzy i młodzi przebierali się za kobiety, wybierali sobie króla, biskupa, opata, przebrawszy ich także, obchodzili z processją po mieście. W Dijon, było sławne święto *matki błaznów (Narrenmutter)*, w czasie którego, wśród największego szału, wyszydzany był kościół i jego święci, nawet przez przebranych duchownych niższych stopni.

Wszystkie te powody do publicznych uroczystości, które tak lud jak i szlachta chętnie chwytała, sprowadzały pełno wędrownych sztukmistrzów i wirtuozów wszelkiego rodzaju; obfitowały w nich czasy średniowieczne, ale bynajmniéj nie honorowały ich wielce. Cała wędrowna rzesza śpiewaków, grajków, skoczków, hecarzy różnorodnych bez kraju i dachu, była pogardzana i żadnemi prawami nie zabezpieczona. Jednakowoż, byli na każdym dworze, a ich zjawienie się w czasie uroczystości, uważano za konieczne; często też bywali dla swego bezwstydu i efronterji, wygauiani haniebie za bramy miasta. Lud wszakże widywał chętnie, odgrywane djalogi biblijne i farsy; teatra organizowały się na prędce, gdy nadciągnęli aktorzy. Zamykano jedną ulicę, stawiano z desek, w pośród niéj jakieś wywyższenie, a okna, drzwi i dachy domów, służyły dla ludzi za loże i galerje. W Baucen r. 1412, jeden dom nie mógł wytrzymać pod naciskiem mnogiego ludu, i zawaliwszy się, 33 osób życia pozbawił. I duchowni wyprawiali także na ulicach różne widowiska: sławny jest w 14 wieku (1326) pochód trzech królów, odprawiany w Medjolanie. Była tam i gwiazda przewodnia, ogromny przepych szat złocistych, mnóstwo osłów i koni, ozdobnych naczyń z mirrą, kadzidłem i t. p. Przy odgłosie trąb i kotłów spotkali Heroda, rozpytali go o drogę i pociągnęli do Betleem, do żłobka, który, pomiędzy osłem i wołem, stał na wielkim ołtarzu katedry.

Ojczyzną jeźdźców i skoczków na linie był Wschód. W XIII wieku ogromna ich czereda wyszedłszy z Egiptu, przeciągnęła przez całą Europę. W Konstantynopolu rozpinali swoje liny pomiędzy masztami okrętów i wyprawiali różne sztuki, cwałując na koniach. Największą ich sztuką, było wchodzenie po linie na wieże kościołów. Raz uczczono w taki sposób wjazd króla Francji, i kronikarz piszący o królu, nie zamieszkał donieść i o skoczku.

Liczniejsi byli jeszcze muzycy i śpiewacy: począwszy od minstrela, co na szlacheckich dworach opiewał czyny przodków, aż do śpiewaków i bajarzy ludu, którzy chodzili po jarmarkach i od domów do domów, śpiewając i opowiadając ciekawe historje. Szczególniéj byli pożądani w dnie wypoczynku, w czasie biesiad i zabaw, zwłaszcza jeźli się nie naprzykrzyli swojem natręctwem. Wtedy traktowano ich jak zwyczajnych skoczków, trefnisiów, lub tych co pokazywali marionetki.

Do Paryża posiadacze małp mieli prawo wchodzić darmo, skoro swoim małpom kazali zatańczyć u bram miasta, przed poborcami myta. Słonie i inne rzadkie zwierzęta bywały oprowadzane po mieście i pokazywane za pieniądze we Francji, nawet aż do czasów wielkiéj rewolucji, podczas któréj zwierzęta te pojedynczym właścicielom zabrano i przysłano je do królewskiego ogrodu, gdzie dały początek sławnéj menażerji dzisiejszego ogrodu Muzeum historji naturalnéj.

Włóczyła się także w średnich wiekach wielka liczba ludzi pokazujących sztuki nogami. Byli to po większéj części tacy, którzy byli okaleczeni na ręce, lub ich wcale niemieli. Wyuczyli się tedy stawiać kubki z winem nogą na głowie, pisać lub grać w szachy także nogami. Od takich i tym podobnych sztukmistrzów nie mogły się opędzić wielkie

miasta; wyganiano ich gwałtem, a w Kolonji wyszło rozporządzenie, żeby ich używać do robót publicznych, lub gdyby nie chcieli, wypędzać ich ćwicząc za bramy.

Szczególniéj zjawiali się oni pod wieczór, kiedy czas już wolny od zajęć zwabił starych i młodych na ulice i place, z domów i sklepów dusznych. Starzy posiadali na ławkach przed domami, opowiadali lub kazali opowiadać sobie różne historje. Wtedy dawali łatwy do siebie przystęp sztnkmistrzom wędrownym. Młodzi i dzieci zabawiali się na placach ocienionych drzewami; tam ujrzeć można było zabawy najróżnorodniejsze, począwszy od jeżdżenia na drewnianym koniku, piłki i ciuciubabki, aż do gier kształcących siłę i zręczność, dziś objętych pod ogólną nazwą gimnastyki. Były także gry zabawne, skakanie przez naczynia napełnione wodą unikając wywrócenia ich i t. p., wtedy przypatrujący się błazni i trefnisie nie szczędzili żarcików, czasami dowcipnych, a gdy było potrzeba, znalazła się muzyka, która wtórowala jednomyślnie zaimprowizowanym tańcom.

W miejscach przerzniętych wodą, lubiono także ścigać się czółnami, lecz w ogólności, zalegające ciemności nocy, zakończały te rozrywki, rzadko kiedy dłużéj się przeciągające, wtedy bowiem miało bardziéj niż dzisiaj słuszność niemieckie przysłowie, że „noc nie jest przyjaciołką człowieka" (die Nacht ist keinen Menschen Freund). Skoro dzwon oznajmił rozpoczęcie nocy, każdy winien był według przepisu papieskiego zmówić trzy „Zdrowaś Marja" i udać się do domu gdzie należało gasić ognie. Wszyscy tedy zasiadali do wieczerzy i potem każdy porządny obywatel szedł na spoczynek. Nawet szynki powinny już były być o téj porze zamknięte i żaden już trunek nie przedawany. W niektórych tylko miejscach dozwolono je zamykać godzinę późniéj. Wyjąwszy więc wielkich świąt i uroczystości, ulice miast były koło północy zupełnie obumarłe. O oświeceniu ich, ani o straży porządnéj nie było wtedy mowy. W niektórych tylko okolicznościach wydawano rozkaz do mieszkańców, żeby stawiali świece w oknach, a w niektórych większych miastach, rogi ulic opatrzone były w gałęzie żelazne, na których osadzano zapalone pochodnie. Kto więc potrzebował wyjść w nocy, musiał nieść z sobą światło, lub przynajmniéj głośno śpiewać, żeby go za złoczyńcę nie wzięto, światło zaś niósł dla swojéj wygody, ponieważ wśród źle brukowanych lub wcale nie brukowanych ulic, mógł łatwo wpaść w jaką dziurę, przewrócić się na kupie śmieci, lub na resztkach jakiéj padliny.

Poważny obywatel siedział nocą w domu, ale różne podejrzane figury snuły się po ulicach i czyniły je niebezpiecznemi dla spokojnych, korzystając w rożny sposób z ciemności. Wesoła młodzież co się zapóźniała w winiarniach, wychodząc ztamtąd w stanie nietrzeźwym, robiła także różne awantury na ulicach. nienawidziała też odgłosu wieczornego dzwona. Częste zachodziły skargi, przy ówczesnem rozprzężeniu duchownego stanu, że niektórzy należący do niego, co zdawali się unikać dziennego światła, w nocy przebrani i uzbrojeni dokazywali i hałasowali. Zwierzchność robiła co mogła żeby spokój nocny zapewnić. W niektórych miastach każda ulica była na noc zamykana łańcuchami, skoro zaś ciemności zapadły, straż uzbrojona w halebardy, miecze i siekiery, niosąc zapalone pochodnie, przebiegała miasto siejąc przestrach wśród złoczyńców, co w cieniu czatowali na jaką ofiarę. Hałaśliwa młodzież bała się jéj także, bo nie było żadnych względów dla stanu do którego awanturnik należał; złapanych sadzano do więzienia na noc całą. W Regensburgu była drewniana klatka, którą nazywano domkiem błaznów i tam schwytany musiał czekać dnia białego.

Czasem jednak używano nocy do wyprawiania świetnych zabaw, tańców w lecie, szlichtad w zimie, a wszystko suto oświecone pochodniami. Cicho, nocą skradał się zakochany pod okno swojéj bogdanki, oczekując znaku z wiadomego sobie okienka, że tam czuwają także, i o nim myślą.

Przy tych miłosnych przygodach, zazdrość wyprawiała często krwawe sceny, czasami też, nieśmiały zakochany śpiewał pieśń tęskną na cześć swéj piękności, albo sprowadzał muzykantów, którzy jéj wyprawiali serenadę. Okrzyczane przez całe miasto piękności często miały szczęście słyszeć takie muzyki i śpiewy, jakkolwiek wiersze nie raz nie wiele sensu miały. Nie zawsze jednak artyści mieli czas dokończyć swe długie pienia, często bowiem spotykało ich nieukontentowanie samychże uczczonych, a jeszcze częściéj sąsiadów, którym ten hałas najmilszy sen przerywał. Tu i owdzie zatem, otworzyło się okno, pokazała się twarz rozdąsana i zaspana i nieraz grube obelgi posypały się gradem, a że w niektórych miastach serenady były zupełnie zakazane, zdarzało się śpiewakom, że ich zabierała warta, odbywająca ciągle patrol, dopóki kur nie zapiał i dzwon ratuszowy nie oznajmił świtu.

DZIELNA POMOC KAPITANA RHINO.

OPOWIADANIE PODRÓŻNEGO PO AFRYCE POŁUDNIOWÉJ.

Co ranek powracał do mnie mój przyjaciel Rhino, wiedziony wdzięcznością i instynktem zachowawczym, przemywałem bowiem co dzień troskliwie jego ranę. Jednakże nie była jeszcze całkowicie zagojona, gdy jednego poranku drzemiąc na drzewie, które mi służyło za pokój sypialny, nad brzegiem *Czarnych jezior*, widziałem we śnie jakieś straszne potwory mnie napadające. Nie wiedziałem którego zabić pierwéj, i już przeczuwałem, że sam najpierwszy legnę, gdy odgłos trąby wojennéj doleciał uszu moich. Były to dźwięki jakieś radośne, zdające się obiecywać pomoc skuteczną, ale nie mogłem się obrócić dla dowiedzenia zkąd mi ona nadejdzie, tak byłem zajęty śledzeniem ruchów moich nieprzyjaciół. Już miałem postrzelić jednego z nich, gdy powtórny odgłos gwałtowniejszy, obudził mnie. Przekonałem się wtedy, że to nie żadna trąba wojenna, ale *kapitan Rhino* tak mnie przyzywał niecierpliwie. Sądziłem że mu rana dolega i że się upomina o jéj opatrzenie. Zeszłem tedy z drzewa i widząc oczy *kapitana* ciągle utkwione w drzewo sąsiadujące z tem, na którem noc przepędziłem, dostrzegłem zaraz, że to właśnie ja byłem przyczyną jego niespokojności. Wśród tego drzewa na gałęzi najbliższéj téj, która mi za schronienie służyła, dostrzegłem panterę czarną, zabierającą rzucić się na mnie. Jéj chudość zdradzała, że ją wielki głód podniecał—iskrzące swe oczy wlepiała we mnie w sposób przerażający i pewno byłaby się już na mnie rzuciła, gdyby nie Rhino, który stał przed nią z podniesionym do góry rogiem.

Mimo wiedzy prawie odezwałem się do nosorożca z podziękowaniem i to bardzo czułem, widziałem bowiem wyraźnie, że jemu zawdzięczam, że mnie pantera w czasie snu nie pożarła, jakkolwiek skoczywszy z drugiego drzewa na moją gałęź, nie utrzymałaby się na niéj, lecz bylibyśmy się razem zwalili na ziemię.

Oparłem strzelbę moją o ramię i spójrzałem na *kapitana* sądząc, że się domyśli co z tego wyniknie. On też czekał w postawie milczącéj, lecz skoro strzał padł i pantera trafiona w czoło zwaliła się na ziemię, wydał dźwięk jakiegoby żaden instrument nie powtórzył i podrzuciwszy ją w górę jak piłką, wydał znów okrzyk jakby na przestrogę wszystkim innym panterom, poczem tę, która padła na miazgę podeptał. Nie wiem doprawdy ile ją razy w taki sposób w górę wyrzucił, jadłem bowiem śniadanie, a gdym potem spojrzał na panterę, wyglądała już tylko jak jakaś massa bezkształtna a krwawa. Wyraźnie znać było, że Rhino postanowił zrobić z niéj dla innych przykład bijący w oczy.

Po śniadaniu zająłem się opatrywaniem rany mego towarzysza. Zaledwie skończyłem, kiedy szelest zbliżającéj się pantery uderzył uszy moje. Myśliwiec naturalista musi mieć słuch wprawny do chwytania rozmaitych dźwięków i rozróżniania ich; od tego nie raz życie zależy w kraju, gdzie niebezpieczeństwo grozi zewsząd i oczy nie zawsze są w stanie go dojrzeć. Oddech pantery zmęczonéj długiem ściganiem łupu, przypomina jakąś nótę minorową, którą każdy śpiewak mógłby dokładnie powtórzyć. Otóż teraz słyszałem coś podobnego, domyślałem się zatem, że nie daleko mnie skrada się pantera i zabiera się rzucić znienacka tak, jak te zwierzęta mają we zwyczaju.

Jeszcze klęczałem przy nosorożcu, dla lepszego opatrzenia mu rany, nie wstałem więc, ale tylko obróciłem się ostrożnie i dostrzegłem nie jedną ale dwie pantery, które nie widząc roga nosorożca, albowiem był do nich tyłem obrócony, dość śmiało do mnie się skradały.

Wziąłem do ręki strzelbę, którą dzień i noc miałem tuż przy sobie i ciągle klęcząc celować zacząłem. *Rhino* przypatrywał mi się bacznie, jakby się chciał dowiedzieć co to ma znaczyć? pogłaskałem go w głowę, którą schylał ku mnie, zachęcając go żeby był spokojny. Spostrzegły się pantery, że się niemi zajmujemy i zwracając na siebie krwawo błyszczące oczy, zdawały się pytać jedna drugiéj, co teraz począć? Strzał padł i trafił samicę, która zaczęła się ciskać i drapać ziemię w przedśmiertnych konwulsjach. Korzystałem z osłupienia w jakie wpadł samiec, na widok nieszczęścia swéj towarzyszki i wycelowałem do niego w same ucho. Skonał tak szybko, że nie miał czasu jęknąć; zdawało się, że się wrył w ziemię padając. Wstałem z kolan i pokazałem *kapitanowi* dwa trupy poległych. Potrząsł głową i rzucił się na nich, aby ich deptać. Samica żyła jeszcze, lecz skoro Rhino wyrzucił ją parę razy w górę swoim rogiem, już i tchu w niéj nie pozostało. Samcem, lubo już zupełnie nieżywym, rzucał Rhino także jak piłką. Ja tymczasem nabijałem powtórnie strzelbę, domyślając się, że nie na tych panterach się skończy, albowiem chodzą one najchętniéj na łup gromadnie, szczególniéj na zwierzęta większe lub silniejsze od siebie.

Obejrzałem skóry zabitych, ale były tak wyleniałe i parszywe, że szkodaby było psuć

nóż na ich zdejmowanie, pomyślałem tedy, żeby zawlec trupy do wody, dla przeszkodzenia psuciu się powietrza; pokazywałem na migi memu towarzyszowi, żeby się wziął do tego razem ze mną; jemuby to tak łatwo przyszło rzucić ich w jezioro rogiem swoim, ale próżne były moje usiłowania—Rhino albo nie chciał tego uczynić, albo sobie z żądania mego żartował. Następstwa pokazały, że miał słuszność troszczyć się o co innego; słuch jego i oczy zwrócone były ciągle ku wschodowi i pomruczawszy, spojrzał na mnie postępując naprzód, jak gdyby chciał dać mi poznać, że w tamtéj stronie będzie dla mnie robota.

Gdyśmy tak uszli kawałek, dostrzegłem ruch między drzewami; wkrótce pokazał nam się jeden czarny, potworny łeb, potem drugi i przekonałem się o bytności w tem miejscu całego towarzystwa panter. Co one tam robiły? wyraźnie czyhały na zdobycz, Rhino jako lepiéj z temi rzeczami obeznany, domyślał się o co chodziło i przygotował się do stawienia oporu; mnie nic nie pozostawało jak nabić strzelbę i czekać.

Stanęliśmy: Rhino obejrzał się na mnie jakby chciał mówić: patrz! Kilka panter wyglądało ztąd i zowąd z wielkiem zajęciem, na brzegi jeziora. Tam dwóch młodych, tłustych hipopotamów wyszło z wody; jeden gonił drugiego, czyli przynajmniéj tak mu się zdawało; wyglądali wśród swoich igraszek, jak dwa przewalające się worki mokrego piasku, jeden z nich, śmielszy naprzód się wysunął; była to chwila na którą czekały pantery. Zabiegły mu drogę i odcięły od towarzysza. Już zabierały się do poszarpania go, kiedy *kapitan*, widać markotny, że się jeszcze za daleko pola walki znajduje, żeby mógł pomódz skutecznie, obejrzał się na mnie, jakby domyślając się że ja mam narzędzie, co prędzéj do celu trafia. Takem go przynajmniéj zrozumiał i na los szczęścia wypaliłem raz po razu.

Spojrzeliśmy po sobie; obie pantery padły, ale żyły jeszcze. „Idź mój przyjacielu, rzekłem zobacz je, jak się tam mają?

Rhino pospieszył, a tymczasem biedny hipopotam wydawał krzyki przeraźliwe nie mogąc się ruszyć, tak był zdrętwiały od strachu; dopiero gdy Rhino nadbiegłszy wyrzucił w górę jedną i drugą panterę, *hip* nabrał otuchy i zaczął zbierać nogi, jak mógł najszybciéj ku brzegowi. Towarzysz jego, już dawno skrył się pod wodę.

Zacząłem powtórnie strzelbę nabijać. Rhino pokazał się dla tych trupów jeszcze okrutniejszym, niż był dla poprzednich. Nie mogłem dobrze zrozumieć czy się zdeklarował protektorem wszystkich hipopotamów, lecz to widziałem, że był strasznie rozgniewany. Wydawał okrzyki, których odcienia jeszcze nie znałem i postępował dumnie, z podniesioną głową. Dla mnie jednak umiał uczynić głos swój łagodniejszym i pocierał czołem o moją strzelbę, jakby jéj także dziękował, gdy jednak przypadkiem lufa dotknęła się jego ciała, usuwał się jak oparzony. Gdy szedłem z lufą naprzód nie chciał iść przedemną, dopiero gdy wziąłem strzelbę na ramię, zbliżał się śmieléj. Ciekawie przypatrywał się kolbie, ale otwory luf budziły w nim wstręt nieprzeparty.

Pewnego razu rozebrawszy fuzję do czyszczenia, oparłem lufy o drzewo, a nic nie było śmieszniejszego, jak patrzeć na obchodzącego je zdaleka nosorożca; gdy dmuchałem w nie przy czyszczeniu, poczciwy nosorożec wytrącił mi je z ręku, gdy zaś chciałem je wziąść powtórnie, nastąpił na nie nogą. Uważał sobie widać, że ogień z nich wychodzi i nie mógł im tego zapomnieć.

Podczas kiedyśmy ocalili hipopotama na zachodnim brzegu, innego znów na brzegu wschodnim rozszarpały pantery. Zapóźnośmy przybyli na miejsce walki; krzyki ofiary już ucichły, a przedstawiło nam się pięć paszcz zakrwawionych, które jéj drgającego jeszcze trupa szarpały. Pantery te wyglądały bardzo zgłodniałe, od czasu do czasu gryzła jedna drugą, gdy im szło o jaki smaczniejszy kawałek, a były tak zajęte, że prawie nas nie widziały.

Teraz *kapitan Rhino* nie czekał aż ja walkę rozpocznę; przebił od razu swym rogiem chude boki z brzega będącéj pantery i jak ją w górę wyrzucił, był już spokojny, że więcéj nikomu szkodzić nie będzie. Cztery tak zamordował, a pozostałe były tak zajęte dojadaniem hipopotama, że wyraźnie nie dostrzegły braku towarzyszek. Żałowałem prochu i dobywszy wielkiego noża dopomagałem *kapitanowi*, aż wszystkie pantery legły, tak są bowiem zacięte przy łupie, że żadna nie ustąpiła.

Byłem pewny, że *kapitan* spodziewa się przybycia drugich, inaczéj byłby poszedł się umyć, lubił bowiem czystość i elegancję aż do pedanterji, jak stary jaki dandys. Kropla krwi lub błota zwykle mu tak zawadzała, że je póty tarł, aż wyszły zupełnie. Ponieważ jednak pić mi się chciało, wskazałem memu towarzyszowi, żeby pójść do źródła, lecz on zachował swą postawę niespokojną i oglądał się to na mnie, to na niedogryzione resztki hipopotama. Widocznie czekał nowych nieprzyjaciół, ale jakich? Ruszyliśmy nareszcie, Rhino mrucząc, ja zaś śledząc jego spojrzenia. Na raz wydał krzyk, a ja dostrzegłem panterę wytrzeszczającą na nas oczy z pomiędzy gałęzi. Strzeliłem i padła. Rhino nie pożałował sobie przyjemności podrzucania jéj i deptania jak poprzednie, poczem ruszył żwawo, co zwykle mi się nie podoba w Afryce. W krajach gorących chód szybki wyniszcza siły i potem kiedy trzeba strzelić dla ocalenia

życia, co tam nie rzadko się wydarza, ręka drżąca i niepewna chybia celu.

Chwyciłem zatem *kapitana* za róg i zatrzymałem go, chociaż mu pilno było, dochodziły nas bowiem różne głosy i to nie samych panter. Postępowaliśmy zwolna do miejsca walki, gdzieśmy zastali sześciu zapastników; cztery pantery i dwóch aligatorów długich od 22 do 25 stóp. Przedmiotem sporu był jak widać jeden trup pantery; inne już znikły. Domyśliłem się po krwi, którą uwalany był pysk walczących zajadle panter, że przyszły w to miejsce z czcigodnym zamiarem pogrzebania swych zmarłych... we własnym żołądku. Podczas spełniania tego chwalebnego uczynku, zostały napadnięte przez aligatorów, opędzały się jak mogły i raz gryzły swych nieprzyjaciół, drugi raz szarpały trupa towarzyszki, a że ich wypadało dwie na jednego przeciwnika, wypadek walki łatwy był do przewidzenia: już jeden aligator miał bok otwarty, wprawdzie i pantery miały połamane żebra, lecz niedawały się, podczas kiedy aligatory usiłowały je uchwycić między swe szczęki które krają jak brzytwy, tudzież napędzały ich do wody, w któréj pantery znalazłyby śmierć, kiedy ich przeciwnicy znajdowaliby się we właściwym sobie żywiole. Straszne wycia towarzyszyły tym usiłowaniom; jeden aligator schwycił w swą paszczękę, (która wiadomo że się zamyka jak podłużne pudelko), panterę i usiłował ją zgryść: drugie schwyciły go za gardło i ciągnęły każda w swą stronę.

Wyraźnie zwycięztwo przechylało się na stronę panter, wtedy, wmieszał się do sprawy Rhino i po swojemu zmiażdżył stronę tryumfującą.

Sądziłem że na ten dzień rozprawiałem się dosyć z panterami, byłem spragniony i zwracając się ku drzewu które mi za schronienie służyło, zabierałem się do napicia świeżéj wody. Wtem kapitan wydał okrzyk i pobiegł jak szalony ku memu drzewu. O zgrozo! w moim sypialnym pokoju, na gałęziach które mi za łóżko służyły, rozlokowały się dwie pantery. Zatrzymałem kapitana i dałem ognia. Spadły obiedwie, a były okrąglutkie, bo się świeżo nakarmiły trupami swoich towarzyszek. Niepotrzebuję dodawać jak sobie z niemi Rhino postąpił. Przypomniałem sobie słowa D-ra Livingstone'a, do którego nazwiska niechciałbym jeszcze dodać *świętéj pamięci* (¹). «W takiem życiu jak nasze, każdy dzień przynosi nową naukę; ten jeden wzgląd już jest pokusą do przedsiębrania odległych podróży.» I tak jest w istocie, choćby człowiek dobrowolnie oczy i uszy zamykał, to mimo to nabędzie wielu wiadomości, szczególniéj w Historji Naturalnéj. W dniu o którym mówię, dowiedziałem się, że pantery polują na łup gromadnie, że zapuszczają się daleko, nie pogardzają ani wodnemi ani ziemnowodnemi zwierzętami, które usiłują złowić podejściem. Przekonałem się, że skoro im głód silnie dokucza, pożerają się między sobą i że pantera czarna, którą uważają za *luxus naturae,* tworzy osobny gatunek liczny i drapieżny. Gdy ich wycieńczą długie pochody i walka z głodem, są obrzydliwe, bo parszeją, sierść ich wyłazi i pokrywa je jakaś rudawa skorupa; jeżeli do tego dodamy jeszcze długie czarne włosy jakie im sterczą z uszu, będziemy mieli istny portret djabła, jakiego nam malują na obrazkach. Kafrowie mają ich za wcielenie złego ducha, dla tego też nigdy wyniszczonemi nie będą. Gdy są w dobrym stanie zdrowia i dobrze wykarmione, sierść ich nabiera czarnego połysku i mają wtedy właściwą sobie piękność, ale straszną. Udało mi się raz zabić taki okaz i skórę posłałem do Britisch Muzeum, lecz ten komu ją powierzono do wypchania, wyciął włosy z uszu i okaz tak oszpecił, że skóra za którą dawano przed wypchaniem 40 funt sterl. (250 rs.) nie warta była po wypchaniu 4 pensów (12 ks.)

Wdrapałem się na swe drzewo, dla odbycia popołudniowéj *siesty,* towarzysz mój, jak zwykle, zanurzył się w wodę pod cieniem drzew; mieliśmy prawo być zadowolonemi ze zwycięztw dnia tego, lecz zdawało się, że Rhino dopiero wtedyby był zadowolony, gdyby każdy liść olbrzymiéj akacji, pod którą spał, zamienił się w panterę i żeby mógł je pozabijać wszystkie przed zachodem słońca.

(¹) Nadeszła wiadomość do Londynu że D-r Levinstone, zabitym został przez mieszkańców środkowéj Afryki, lecz ponieważ inne depesze niepotwierdziły tego doniesienia, Tow. Geograficzne Londyńskie, wysłało kilku swych członków na dowiedzenie się prawdy o losie znakomitego podróżnika i badacza.

BOLEŚĆ ŚWIĘTA.

W kościele cisza—klęczy lud w pokorze;
Kapłan wzniósł ręce, a nad jego głową
Promień słoneczny, strugą brylantową,
Padł na krzyż Pański i oblicze Boże
Cudnie oświecił. Jaka boleść święta!
Pokorna, cicha, Boska, uśmiechnięta.
Dlaczego człowiek cierpieć tak nie może!...

Ant. K.......i.

BOHATERSTWO DNI NASZYCH.

(OBRAZEK Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO)

napisany przez Stanisława Gargulskiego.

(Dalszy ciąg).

Pewnego wieczoru krawiec i Zefir przekonawszy się o powyższem, własnemi oczyma w chęci zajrzenia na zewnątrz przez tenże otwór w zamku.



Tam też podróżny zgłodniały dostawał posiłek z rąk miłosiernych.
(str. 337).

i uszami, poszli do gospodarza domu, ten zaś zwołał stróża swego, i we czterech, a było im raźniéj, poszli na zwiady.

Przybywszy bez światła na drugie piętro, widzieli i słyszeli najdokładniéj wszystko co krawiec i Zefir twierdzili.

Stróż domu był najodważniejszym, bo zajrzał przez dziurkę zamku do wnętrza pokoju. Ale jakże srodze ukarany został za swoje zuchwalstwo! W chwili gdy zaglądał do wnętrza pokoju, nieboszczyk siwowłosy ze świecą w ręku był nachylony blisko drzwi, jakoby

Tak spotkać się nos w nos z nieboszczykiem, to coś okropnego! Biedny stróż krzyknął z przestrachu, odskoczył od tych drzwi jak oparzony; potrącił silnie gospodarza domu swem ciałem i obaj wpali na drzwi pani Janowéj, które gdy ustąpiły pod ich naciskiem, naraz oba znaleźli się u nóg gospodyni mieszkania.

Światło znikło w pokoju nieboszczyka.

Studjowano daléj, lecz ani światła widać nie było, ani szmer żaden nie dał się słyszeć. Zefir stukał długi czas do drzwi asesora, i ten

rozespany wyszedł na spotkanie śledczéj komisji.

Asesor nie widział ze swego pokoju żadnego światła, bo drzwi prowadzące od niego do pokoju po nieboszczyku, zastawione były u niego małą szafką, klucz od tych drzwi od czasu opieczętowania był u gospodarza domu, pomimo oderwanéj już pieczęci.

Nazajutrz taż sama śledcza komisja weszła za dnia do pokoju po radzcy opróżnionym. Podłoga pokryta była kurzem, a na kurzu wyciśnięte były ślady stóp bosych!

Widok ten przejął dreszczem odbywających poszukiwanie.

Gospodarz domu kazał zamieść pokój i usypać piaskiem.

Wieczorem tego dnia nieboszczyk znów rachował pieniądze w swoim niegdyś pokoju; nazajutrz ujrzano ślady bosych stóp na piasku.

Na ten widok odwiedzającym powstały włosy na głowie, lubo to było wśród dnia białego. W milczeniu wyszli wszyscy z tego pokoju, omijając ślady wyciśnięte na piasku; rzecz taka nie wymaga komentarzy.

I w dalszym ciągu już wieczorem, już też o północy, światło ukazywało się i niknęło, gdy w skutek dojrzenia go poczęli zbierać się lokatorzy domu na schodach.

Odtąd nikt w całym domu nie wyszedł wieczorem na schody bez światła, a nawet wyjść pojedynczo byłoby zuchwalstwem.

Jeden biedny chłopiec krawiecki, zapomniawszy o nieboszczyku, wybiegł wieczorem bez światła na schody. Przechodząc koło drzwi pokoju nawiedzonego, ujrzał światło i posłyszał westchnienie pokutującéj duszy. Wypadało uciekać, co też robiąc zbyt pospiesznie, spadł biedaczysko ze schodów tak szkodliwie, że po opatrzeniu go na miejscu, został odwieziony na dalszą kurację do szpitala Dzieciątka Jezus (jak o tem i gazety zawiadomiły).

Ten ostatni wypadek stał się głośnym w Warszawie. Wieść rozeszła się daleko po mieście, ale rozeszła się w sposób zbyt oryginalny.

Powód téj oryginalności miał źródło swoje w poprzedniku téj treści:

Na lat dziesięć przedtem opowiadano, że straszy w pewnym domu na Nowem Mieście. A mianowicie: w dzień biały w obec świadków poruszały się tam pewne lekkie sprzęty pokojowe, przechadzały się tam same bóty po podłodze, sypało coś gruz i t. p.

Policja wglądała w to nadaremnie, ludzie zbiegali się tłumnie do oglądania tego zjawiska, było to, jak późniéj dowiedziano się, umyślne kuglarstwo lokatora nawiedzonego mieszkania, w celu nie opłacenia komornego. Dom z opinją przebywania potępieńców, mógłby stać pustkami, bo któżby tam chciał wynająć komorne? Lokatorowi sprowadzającemu taką plagę na dom, wypadało dozwolić bez pretensji zamieszkiwać do końca kwartału, i w dodatku dać mu coś pieniędzy na zadatek wynajmu mieszkania w innym domu i na przeprowadzkę.

W ten sposób postąpił sobie jeden znajomy nam właściciel domu przy ulicy Krzywe Koło (ś. p. Przygocki), dowiedziawszy się, że wprowadzający się do niego lokator zamieszkiwał niegdyś lokal nawiedzony na Nowem Mieście.

Otóż obecnie rozeszła się wieść po Warszawie, jako w domu przy ulicy Ś-to Jańskiéj, naprzeciwko kościoła Ś-go Jana, na drugiem piętrze od ulicy, codziennie wieczorem ukazuje się światło w oknach i niknie nagle ; nadto że przez chwil kilka sam nieboszczyk ukazuje się w otwartem lufciku wyglądając oknem na ulicę, a w samem mieszkaniu wszystkie sprzęty tańcują, lubo w rzeczy saméj żadnych tam nie było.

Wieść taka wywołała w Warszawianach chęć naocznego przekonania się o prawdzie pogłoski. Jakże wiele osób jest chciwych wrażeń, i czyliż nie każdy z nas chciałby bezkarnie zobaczyć nieboszczyka wracającego z tamtego świata, choćby tylko wyglądającego przez chwilę lufcikiem z drugiego piętra! A wszakże i nagłe ukazanie się światła rozpalonego i gaszonego przez ducha, zasługuje także na bliższe obejrzenie! A może też i wiele innych cudownych rzeczy się zobaczy?...

Z tych pobudek mieszkańcy Warszawy poczęli codziennie o zmierzchu schodzić się tłumnie na ulicę Ś-to Jańską, i podnosili brody do góry mając w podejrzeniu wszystkie okna drugiego piętra, wszystkich domów położonych naprzeciw obu kościołów.

Jak wiemy, domy po téj połaci ulicy Ś-to Jańskiéj są wązkie i po trzy tylko okna obejmują; nie było zatem pewności w którym to mianowicie domu straszy na drugiem piętrze. Często nawet przybywający widzowie i o piętrze źle byli powiadomieni, gdy zatem w którymkolwiek domu, lub na któremkolwiek piętrze ktoś wyjrzał oknem, to już napewno rozeszły się okrzyki widzów, że to nieboszczyk! gdy ktoś z mieszkańców tamtejszych zapalił świecę w swoim pokoju, to również brano to światło na karb sprawki potępieńca.

Wśród tych okoliczności, policja miała bardzo wiele do czynienia. Komisarz i dozorcy codziennie wieczorem stawali na gruncie dokonywającego się zbiegowiska i rozpraszali przystających na miejscu. Ciągle rozlegały się wołania: „Rozchodzić się panowie, rozchodzić się.” I wymagania te były bardzo słuszne; tak poczęty nieporządek uliczny staje się pobudką do bezpraw. Z osób zadzierających brody na drugie piętro, nie jedna pozbawioną była zegarka lub woreczka z pie-

międzmi, a stracić tam chustkę było rzeczą pospolitą.

Nikt nie wierzył w duchy, próżna była obawa posiadaczy miejskich, aby dom jakiś mógł być nazwanym w Warszawie nawiedzonym i przez to nie zamieszkałym. Nikt, mówimy, nie wierzył w strachy, jednakże przez jakieś: „coś w naturze niepojętego” każdy chciał coś zobaczyć, zwłaszcza że to darmo i mając w godzinie wieczornéj dosyć czasu do stracenia.

Na wezwanie policji rozchodzono się i znów wracano, wszakże każdemu wolno jest przechodzić ulicą i brodę zadrzeć do góry? Nikt nie myślał o tem, że niepotrzebnie sprawia publiczny nieporządek, każdy pragnął ujrzeć coś nadzwyczajnego.

Nie wierzono zatem; ale.... jakoby wierzono. Na takim dziś stopniu stoi u ludzi światłych (?) wiara w chodzących nieboszczyków.

Policja za trudy niepotrzebnie podejmowane, wywierała zemstę na rozsiewających fałszywe wieści o strachach. Wieści te wywoływały zbiegowisko i kłopot dla mieszkańców tamtejszych domów, bo nikt nie mógł w porze wieczornéj wyjrzeć oknem bezkarnie, a nawet świecy zapalić.

Policji wypadało działać na przyczynę, aby uśmierzyć skutek.

Sami byliśmy świadkami następującéj sceny: Jakaś dziewczyna w porze wieczornéj na ulicy, przemawiała w te mniéj więcéj słowa, do kilku otaczających ją osób, z liczby innych tłumnie przybyłych do zobaczenia stracha.

„To powiadam państwu, wczoraj o dziesiątéj wieczorem, trzy białe osoby stały w oknie przez pół godziny. Komisarz poszedł tam na drugie piętro z patrolem. Wszystko znikło, ale poduszka jak się zerwie z łóżka sama i uderzy jednego żołnierza, to aż poszewka pękła i pierze obsypały cały patrol, że ledwie uciekli z tego mieszkania.”

— Chodźno kochanku! chodź! Opowiesz nam co to tam było! zawołał dozorca policyjny, przysłuchujący się z boku opowiadaniu dziewczyny, przyczem uchwycił ją za rękę i zaprowadził do kancellarji cyrkułowéj.

Odtąd rozeszła się wieść, że straszy w rzeczy saméj w tym domu, ale nie wolno jest o tem mówić....

My nie wierzyliśmy już i wówczas w strachy, a znając bliżéj mieszkańców tego domku i mając sposobność dostrzedz fakta, nie wiedzieliśmy sami jak o tem sądzić. Nie można było wątpić w ukazywanie się i niknienie światła w porze wieczornéj, w opróżnionym pokoju po radzcy nieboszczyku. Szmer dawał się słyszeć dokładnie dla każdego, kto miał chęć podsłuchiwać u drzwi w czasie ukazującego się światła. Ślady stóp bosych były jak najwyraźniejsze. Stróż tego domu spotykający się nos w nos z nieboszczykiem, przysięgał na wszystkie świętości, ale już w mieszkaniu pani Janowéj, jako najwyraźniéj widział radzcę przed chwilą. Gospodarz domu nie widział wprawdzie nieboszczyka, ale z zapału swego stróża, również w mieszkaniu pani Janowéj wnosić musiał, że on coś z pewnością zobaczył.

Wieść nie próżno rozeszła się po Warszawie i wywołała wieczorne zbiegowiska.

W obec tak pewnych faktów, wypada nam dopełnić rozwiązania aktu trzeciego.

Całéj téj biedy był przyczyną asesor!

On poczciwiec, jak to wiemy, śpiąc jednéj nocy na schodach, słyszał żyjącego wówczas radzcę, skrobiącego, jak mu się zdawało w kominku. Słyszał on następnie brzęk worka ze srebrem, a ztąd wyprowadził już wówczas wniosek, jako stary sknera pieniądze zamurowywa. Obecnie listy zastawne znalazły się, ale brakło zł. 100,000 w złocie i srebrze; one muszą istnieć! Skoro testament prawdę mówił o listach zastawnych tak misternie ukrytych—to i kapitał w złocie i srebrze jest równie tajemnie ukrytym.

— Gdzież on jest ukryty? myślał asesor. W kominku! była jego odpowiedź.

Od poczęcia téj myśli, asesor oka zmrużyć nie mógł. Zamyślał on odnająć pokój po radzcy, aby swobodnie czynić poszukiwania—lecz od czasu obiadu z Zefirem w restauracji, był tyle zrujnowanym, że na niepewne nie mógł rezykować, a wreszcie dłużnym był gospodarzowi, to może zamiar jego byłby odrzuconym.

Przejście z jego pokoju do opróżnionego mieszkania po zmarłym, było łatwe pomimo pozornéj trudności.

Asesor odsuwał swoją szafkę, poczem u drzwi o dwóch skrzydłach, odsuwał zasuwki z jego strony będące; następnie pomimo spustu zamku i zasuwki z przeciwnéj strony; wtedy można było oba skrzydła drzwi z łatwością roztwierać i zamykać.

Asesor zatem wchodził tam boso w obawie uczynienia jakiego szmeru, odejmował drzwiczki zamykające kominek i skrobał, naruszał cegły, słowem według swego domysłu szukał pieniędzy. W czynności swéj złą stronę mającéj, asesor podlegał ogólnym prawom natury, chroniąc ją pod cienia nocy. Ale światło z tego pokoju ujrzane na schodach i szmer posłyszany, robił często poruszenie w całym domu; wówczas asesor gasił światło, zamykał kominek i wracał do swego pokoju. Ta kombinacja tajemna powodowała ukazywanie się i niknienie światła, sprawiała szmer, pozostawiała ślady bosych stóp na piasku i nakoniec sprawiła kiedyś upadek ze schodów chłopca krawieckiego i karambul stróża z gospodarzem domu, gdyż w saméj rzeczy asesor chciał zaj-

rzeć przez dziurkę w zamku na zewnątrz, gdy stróż domu chciał spojrzeć wewnątrz pokoju.

Teraz już po skończeniu dramatu, przejdziemy do poważniejszego rozdziału. Życie warszawskie przeplatane jest śmiesznostkami i kłopoty, czyny płaskiemi i wzniosłemi—tak też i w rzeczy przez nas opowiadanéj, po dziwactwie dotąd nie wyjawionem, następują:

VIII.

Oświadczyny pana Atanazego.

W czasie zajść przez nas opisanych przy ulicy Ś-to Jańskiéj, a także w czasie podówczas przypadającéj stanowczéj konkurencji pana Atanazego o rękę panny Katarzyny, przyjechała do p. Janowéj, niejaka p. Wojciechowa żona burmistrza z małego miasteczka, okolic niegdyś siostr obu. Była ona dawną ich przyjaciołką i mając adres pani Janowéj, stanęła u niéj w domu wówczas historycznym przy ulicy S-to Jańskiéj.

Przyjazd ten sprawił dowiedzenie się p. Janowéj o stracie kapitału jéj siostry i zaproszenie p. Piotrowéj na wieczorną pogawędkę z p. Wojciechową.

P. Janowa wnosiła bardzo naturalnie, że siostra wie dokładnie o swoim upadku majątkowym, bo wszakże od dwóch lat nie odbiera procentu od kupca zbożowego.

Dla czego jednak nic dotąd nie mówiła jéj o tem, rozmyślała p. Janowa. Czyli to jest nieszczerość, lub też filozofja nakazująca pogardę dostatków ziemskich?

Panna Katarzyna dała do zrozumienia cioci, że wie o jéj nieszczęściu, lecz p. Piotrowa nie zrozumiała jéj półsłówek, czyli téj spłaty nieszczeréj za mniemaną nieszczerość.

Dniem wpierw przyjechawszy p. Wojciechowa w dom p. Janowéj, przywiozła ze sobą wielki kosz z pokrywą do zamykania. W koszu tym pomieszczona była garderoba, prowianty do zaspokojenia głodu i dwa garnki z powidłami na podarunek dla pań Janowéj i Piotrowéj. Kosz ten zajmował dosyć miejsca w ciasnem mieszkaniu p. Janowéj, przeto wyniesiono go do próżnego pokoju po radzcy. Klucz od tego mieszkania był u p. Janowéj z tego powodu, że kilku odważniejszych lokatorów tego domu, za pierwszem dojrzeniem światła w pokoju nawiedzonym, podjęli się uczynić szturm do niego. Gospodarz domu mieszkał od ulicy Piwnéj, najwłaściwiéj zatem było pomieścić klucz u p. Janowéj, jako najbliższéj sąsiadki zaklętego mieszkania.

Teraz też dla p. Janowéj była dogodność z posiadania tego klucza, bo w piątek od południa p. Wojciechowa wyszła na miasto za sprawunkami, które mogła dogodnie pomieścić w pokoju nawiedzonym.

P. Wojciechowa raz pierwszy w życiu przyjechała do Warszawy, to też nie znała miasta, i chętna usłużność panny Katarzyny, była jéj w tem wielką pomocą.

P. Wojciechowa zabawiała się rozmową z panią Janową, gdy panna Katarzyna odprowadzona przez p. Atanazego powróciła do domu i oznajmiła odwiedziny cioci Piotrowéj dzisiejszego wieczoru. Następnie panna Katarzyna przeszła do drugiego pokoju, a pan Atanazy po zamianie kilku zdań ze starszemi paniami, przeszedł również do drugiego pokoju za panną Katarzyną.

On dzień dzisiejszy oznaczył sobie od pewnego już czasu na wyjaśnienie swych uczuć, i teraz w téj myśli przysunął swe krzesło bliżéj panny Katarzyny i zaczął mówić:

— W życiu ludzkiem są chwile w których roztwieramy sobie wrota dalszéj przyszłości; pojmując te ważne chwile, i na nie przygotowawszy się, trudno słów nam znaleść do prośby, aby ktoś z nami po za temi wroty podzielał dalszą pielgrzymkę życia. Jeśliby prośba nasza zawisła na polepszeniu bytu, jeśli korzyść nasza dałaby się obliczyć cyfrą, wówczas z zimną krwią wykazalibyśmy powody nas wzywające do wniesienia naszego żądania, lecz mając na myśli same tylko moralne widoki, mając na myśli nasze duchowe przeznaczenie, wypadałoby użyć głosu duchowego, głosu serca do zamiany takich myśli.

Pan Atanazy mówiąc to, był zimnym jak posąg, ale wzruszenie rozlewające wyraz szlachetny na jego oblicze, czyniło go stokroć piękniejszym w oczach panny Katarzyny. I nawzajem panna Katarzyna pojmując znaczenie słów do niéj wyrzeczonych, zdradzała swe wzruszenie w falowaniu łona i w ogniu błyszczącym z oczu.

— Pani! mówił daléj p. Atanazy, spuszczając oczy przed ognistym wzrokiem dziewicy. Ja pochlebiam sobie, że pani pojęła znaczenie słów moich. Najdroższe życzenia serca mego ci przekładam. Od chwili poznania pani, powziąłem przekonanie, że dni nasze będą złączone. Spotykałem przedtem i późniéj inne także dziewice, ale o żadnéj tego nie myślałem. Widząc w połączeniu z panią wytkniętą drogę życia mego, chcę spytać jéj, czyli te marzenia nie były płonnemi?

Gdyby zdanie pana Atanazego cokolwiek było krótsze, i znak zapytania wcześniéj wypadł, panna Katarzyna byłaby zwyciężoną— lecz zdanie przydługie dozwalało jéj ochłonąć z pierwszego wrażenia, stała się tedy poprzednią fantastyczną dziewczyną, i rzekła chłodno:

— Pojmuję słowa pana oparte na przeznaczeniu ludzkiem na tym świecie — sama nie wyłączam się z pod tego prawa.... Czyli jednak można nazwać rzeczą duchową, związek zawarty bez żadnego dowodu głosu serca?

Czyliż zdanie najbardziéj strojne w krasomówcze kwiatki, daje dowód swego duchowego pochodzenia? przeciwnie nawet, daje ono niejakie podejrzenie obłudy... a czyn wzniosły, poświęcenie, będzie zawsze dowodem prawdy, choćby nawet nie wyrażonéj słowy. Pasterz wdzierający się z narażeniem życia na stromą skałę, lub śmiałym skokiem przebywający przepaść, aby przynieść pasterce ulubiony kwiatek, jest duchowym krasomówcą, lubo zdania jego mogą być szorstkie; taki głos pojmuje jego bohdanka, a niestety! czyliż dziś zdolny jest kto tak przemówić?

Zdanie to panny Katarzyny również było przydługiem, i dozwoliło p. Atanazemu ochłonąć z wrażenia, wzbudzonego spojrzeniem przed chwilą przenikającem go jeszcze, stał się tedy poprzednim pedantem i rzekł z krwią zimną:

— Razy już kilka objaśniłem panią, jak pojmuję bohaterstwo dni naszych. Jeśli mielibyśmy odbywać wspólną wędrówkę życia, to mogłoby tylko nastąpić na mocy wspólnych nam pojęć: bez tego warunku podążalibyśmy drogą usłaną cierniami.

— Ha! zawołała z uśmiechem panna Katarzyna. Otóż poświęcenie rycerskie, w żądaniu od nas naginania się do obcych nam pojęć. Jakże smutno spojrzeć w świat dzisiejszy, czemuż nie urodziłam się w wiekach bohaterskich?...

P. Atanazy chciał odpowiedzieć, ale wejście Zefira, nie dozwoliło mu tego uczynić.

Po pierwszem powitaniu, panna Katarzyna spostrzegła, że właściwa nastręcza się sposobność drażnienia i wyprobowania p. Atanazego, w téj myśli rzekła do Zefira.

— Przed chwilą rozmawialiśmy z p. Atanazym o smutnych dzisiejszych czasach pod względem czynów bohaterskich. I w saméj rzeczy, jakże dziś trudno o najmniejsze dla nas poświęcenie ze strony panów. Żartują ze starych panien, ale ja sądzę że pozostały w tym stanie, nie znalazłszy serc mogących je zrozumieć.

— Pani! przerwał Zefir. Ja zdolny jestem do czynów najwznioślejszych, jeśliby one trafiły do przekonania mojéj bohdanki, lecz cóż można uczynić w naszych żelaznych czasach? Czyliż dziś błędnym być rycerzem, jeździć po drogach aby bronić napadniętych od rozbójników; czyliż szukać tych złoczyńców w głębiach ich jaskiń; czyliż nareszcie odszukiwać uciśnionych, aby ich bronić od władzy możnych? Dziś nic wzniosłego dokonać nie można: dziś i na wojnie iść trzeba tam tylko, gdzie każą i strzelać na rozkaz.

— A gdyby też nocować w pokoju nawiedzonym? wtrąciła półgłosem panna Katarzyna; gdyby też przynieść jaki nieomylny dowód spotkania się z potępieńcem?...

— Czy pani sobie tego życzy! zawołał Zefir.

— Czy p. Atanazy byłby na to dosyć odważnym? rzekła cichym głosem panna Katarzyna. Oto klucz od mieszkania nawiedzonego, dodała biorąc do ręki klucz leżący na oknie.

— Pani! przemówił poważnie p. Atanazy. Przygody dziś nadzwyczajne są tylko te, jakie asesor opowiada: prawda w nich zawiera się taż sama, jaka jest w fakcie przybywającego tu nieboszczyka. Myśl moją o bohaterstwie dni naszych wyrzekłem już, i od zdania mego nie odstąpię.

— Pani! zawołał Zefir. Ten klucz otworzy mi drogę do nieba; zwalczę potępieńca i anioł będzie moją nagrodą.

Z temi słowy, Zefir opuścił mieszkanie pani Janowéj.

— Przykro mi niewymownie, rzekł p. Atanazy do panny Katarzyny po wyjściu Zefira, przykro mi widzieć w pani opinje tak sprzeczne z mojemi, zwłaszcza, że pragnąłem widzieć w pani zdrową duszę w pięknem ciele.

— Rozsądek pański umiem cenić, odrzekła panna Katarzyna. Pojmuję, że dobrym jest uczynkiem miłość bliźniego, cnota, praca szczera, życie według swego stanu, bo od tego wszystkiego odwodzą nas różne wymagania dni naszych—ale ja zowię to dobremi uczynkami, przyzwoitem prowadzeniem się, ale nie bohaterstwem; na taką nazwę zasługują tylko wyższe poetyczne uczynki wzruszające serce, łzę wdzięczności wyciskające..... a czyliż do tego zdolne są tak pospolite niejako obowiązkowe sprawy chrześcjanina i człowieka dobrych obyczajów?

— Czyli pani przypomina sobie opowiadanie moje o panu L.? wszakże tam płynęły łzy wdzięczności, i serce było wzruszone podziwieniem na prosty chrześcjański obowiązek wypełniony przez opiekuna sieroty!

— Taka to już tylko poezja dziś istnieje? pytała panna Katarzyna.

— Tak pani, poezja zawarta w czynie ma dziś istotną tylko wartość.

W czasie téj rozmowy, p. Janowa z p. Wojciechową były w drugim pokoju, gdzie zabawiały się wspomnieniami lat młodości.

P. Wojciechowa była plotkarką małego miasteczka, wiedziała wszystko co gdzie zaszło, każdego obmówiła, same tylko wady widziała w bliźnich swoich; a pomimo dobiegającego czwartego krzyżyka, miała pretensję do młodości i piękności.

Obecnie opowiadała ona p. Janowéj, jak dobrze bawiła się na weselu u rejenta, jak wszyscy ogłaszali ją za piękność, jak powabnie ubraną była.

Gdy tak rozmawiały, weszła służąca pani Janowéj.

— O! proszę pani, co też to dzieje się na ulicy, mówi wchodząc. A to sądny dzień!

Ludzi taki tłok, a dozorcy rozpędzają, a każdy patrzy się w górę.

— Że też tu okna nie wychodzą na ulicę! przerwała p. Wojciechowa. Jakże to przyjemnie mieszkać od ulicy: ubrać się ładnie i usiąść w oknie, to tak dobrze, jak gdyby gdzie być na zabawie. Cóż ja bym za to dała, żeby teraz z góry choć przez szybę widzieć, co się tam dzieje na ulicy: miałabym przynajmniéj za powrotem co opowiadać w miasteczku. Ach! jakaż to szkoda.

— Można temu zaradzić, rzekła na to p. Janowa, w chęci zabawienia swego gościa. Możemy przejść do asesora naszego sąsiada, i z jego okna wszystko zobaczyć.

— Czy on żonaty, czy kawaler, stary czy młody?

— Kawaler! ale taki tam kawaler.

— Ach! ja nie jestem ubrana. Nie wiem, czy mi do twarzy w tym czepeczku?

— Ale pięknie wyglądasz! zawołała ze śmiechem p. Janowa. Nadto już zmierzch, to asesor nie dojrzy.

I obie panie przeszły do mieszkania swego sąsiada asesora, a z niemi także panna Katarzyna i na jéj zachęcenie p. Atanazy.

P. Wojciechowa przechodząc do mieszkania asesora, poprawiała włosów i czepeczka.

— Przepraszamy naszego sąsiada! mówi p. Janowa do asesora, wszedłszy do jego pokoju; przepraszamy, że niepokojemy go powodowane ciekawością zobaczenia zbiegowiska ulicznego.

— To honor mi czyni szanowne panie, odrzekł asesor. W Hiszpanji częściéj odwiedzają narzeczone narzeczonych, niż narzeczeni narzeczone.

— O! będę też miała co opowiadać za powrotem do siebie, zawołała p. Wojciechowa widząc przez szyby okna, pomimo zmierzchu, wielkie zbiegowisko ludu na ulicy. Jak to można bawić się w Warszawie! Zawsze co nowego! To nie tak jak u nas; a jak tu przyjemnie jest chodzić po ulicach: tyle strojów, wszyscy tak grzeczni!

„Rozchodzić się panowie! do domu! do domu!” wołał głos komisarza policji na ulicy.

— Nalegać będę na męża mego, aby starał się o posadę w Warszawie, mówi p. Wojciechowa. Tu żyć a nie umierać, byle tylko mieszkać od ulicy. O! będę też miała co opowiadać za powrotem do siebie.

I pragnąc lepiéj przyjrzeć się scenom ulicznym, otworzyła lufcik i wyjrzała na ulicę, poprzednio jednak poprawiła włosów i czepeczka.

— Strach! strach! strach! zabrzmiały okrzyki na ulicy, przyczem mnóstwo rąk wyciągniętych w górę wskazywało p. Wojciechowę.

— Nie pokazuj się asani w oknie! zakrzyknął komisarz policji, dając stosowny znak ręką p. Wojciechowéj. Po co się pokazywać i straszyć sobą ludzi.

Strach! straszydło! trup stary! rozległy się znów okrzyki na ulicy, z poprzedniem wskazywaniem p. Wojciechowéj.

— Schowaj się asani! nie pokazuj się, bo ludzi sobą straszysz, powtórzył znów komisarz.

— Odejdź pani od okna! zawołał asesor na p. Wojciechowę. Tu w téj porze nie można oknem wyglądać.

— A cóż to za ludzie nie mądrzy w téj Warszawie! zawołała z oburzeniem p. Wojciechowa, cofając się od okna i zamykając lufcik. Czy ja też podobna jestem do stracha, do trupa starego. A to dopiero etykieta warszawska! O! tego nie spodziewałam się po Warszawie.

A w tym czasie z ulicy dochodziły okrzyki: Zniknął! zniknął trup stary! zniknęło straszydło!

— O jakże to ludzie nie mądrzy! mówiła znów pani Wojciechowa, drżąc na całem ciele z oburzenia.

— Nie gniewaj się kochanko! rzekła ze śmiechem p. Janowa, bo to....

— Jak to nie gniewać się! A to mi rzecz piękna, tak komu ubliżyć publicznie. Gdyby się to u nas stało w miasteczku, to mąż mój wszystkich do kozyby zabrał. Ja sama zamknęłabym ich w chlewku, a tu taka Sodoma, tacy brutale bezkarnie spotwarzają.

— Wybacz pani dobrodziejko! mówi asesor. Gniew szkodzi piękności.

— Ale sam się pan zastanów, odparła w lepszym humorze p. Wojciechowa, z powodu pochlebnego słówka asesora. Sam się pan zastanów, czy można być więcéj niegrzecznym?

— Bo to wybacz pani! mówi dalej asesor siląc się na bardziéj pochlebne słówka. Przed laty dwudziestą nie powiedzianoby tego na panią, wówczas piękność jéj kwitła przy słonecznych promieniach pięknego lata, a dziś w zimie życia...

— Co pan mi takie brednie gadasz! Toś pan się zestarzał ale nie ja....

— Łaskawa pani! ja mam dopiero lat 38.

— Co znowu? pan cały osiwiałeś, bo powiem panu prawdę...

— Honorem pani ręczę! Ja byłem w Hiszpanji ranny w głowę.

— Co mi tam z pana Hiszpanją!...

— Oliwą pani!... oliwą! wołał asesor za wychodzącą panią Wojciechową.

— Oliwą? spytała pani Wojciechowa przystając w swym odwrocie.

— Głowę mi oblewano oliwą, a od oliwy włosy siwieją, ale w rzeczy saméj, ja młody jestem... ja niedługo ożenię się...

— Pan się ożenisz! a któraby pana chciała! zawołała pani Wojciechowa zabierając się do wyjścia.

I opuściła mieszkanie jego, a reszta towarzystwa z powstrzymywanym śmiechem udała się za nią. Asesor odprowadził do drzwi swoich gości, mrucząc półgłosem:

— Co to jest parafjanizm! Straszyć sobą ludzi a mieć pretensję do piękności.

P. Wojciechowa po powrocie do mieszkania p. Janowéj, usiadła na sofce i w przystępie rozdrażnienia, zawołała:

— Jak wy tu możecie mieszkać w téj Warszawie! A to tu same gbury! A to mi ludzie ukształceni. O! jakież tu nudy, ulice ciasne, ani tu nieba nie widać, a wszędzie twardo pod nogami. To istna Sodoma! Spotwarzają cię bezkarnie, ciągle same niedorzeczności, jakieś tam strachy, ciągle same brednie. Za nic w świecie nie chciałabym tu mieszkać, a zwłaszcza od ulicy. O! uciekam ztąd co najprędzéj, żeby mnie tu jeszcze jakie nieszczęście nie spotkało.

P. Atanazy zamyślał już odejść, lecz panna Katarzyna prowadzoną daléj rozmową o pojęciach bohaterskich dni naszych, umiała go zatrzymać przy sobie. P. Atanazy był jéj niewolnikiem; w innym razie zżymałby się słysząc pojęcia sobie przeciwne, a teraz żałował tylko, że one są udziałem władczyni jego serca.

W tym czasie, w drugim pokoju p. Wojciechowa wyrzekała na Warszawę, a gospodyni domu przez gościnność przystawała na jéj zdania. I pogadanka w dwóch pokojach już wyczerpywała się, gdy nagle rozległy się po za drzwiami okrzyki:

„Światło znikło! Daléjże klucza! klucza! świecy! świecy! złapiemy! złapiemy!”

— Klucza! świecy! świecy! powtórzyły znów pomieszane głosy.

— To lokatorowie tego domu zrobili dziś polowanie na tego stracha i uchwycili go zapewne, objaśniła p. Janowa.

— O! idźmy tam, idźmy tam! zawołała pani Wojciechowa. Przynajmniéj ubawię się w Warszawie. Jak tu wesoło, zawsze co nowego!

— Idźmy tam! idźmy tam! dodała panna Katarzyna z podbudzoną ciekawością o wypadki sąsiedniego jéj mieszkania.

P. Wojciechowa pochwyciła lichtarz ze świecą i wybiegła na schody, za nią udała się p. Janowa, panna Katarzyna i p. Atanazy; to też i my pozwólmy sobie dla rozrywki zobaczyć:

IX.

Czy też złapano stracha?

Zefir po przyjeździe swoim do Warszawy, miał przez kwartał czasu zapewnione utrzymanie u p. Nużki; lecz nie wiele on dbał o to, bo sam po mieście miał dosyć kredytu, a najczęściéj zdarzyło mu się kogo zaprosić do restauracji, jak oto i asesora w dniu pierwszym po swoim przyjeździe do Warszawy.

Dziś już nie miał zapewnionego utrzymania u p. Nużki, i po raz pierwszy od czasu swego przyjazdu do Warszawy, doznał zawodu fortuny. Sam nie miał pieniędzy; nikt mu nie nastręczył się, aby mógł go zaprosić na obiadek; kredytu odmawiano mu ogólnie od pewnego czasu. Zbiegiem tak smutnych okoliczności, nasz Zefir nie jadł dziś rano śniadania, nie jadł także obiadu, wieczorem zatem postanowił sobie wszystko wynagrodzić w domu p. Janowéj. Wiedział on o przyjeździe tam obcéj osoby z prowincji, to też spodziewał się dobréj wieczerzy. Losy i teraz go zawiodły: otrzymał bowiem klucz od pokoju nawiedzonego, i stosownie do woli panny Katarzyny poszedł na czaty, aby spełnić czyn bohaterski.

Już zmierzchać się poczęło, gdy Zefir udał się na swoje stanowisko.

— Dobrze byłoby, mówi sam do siebie, zrobić coś dla przypodobania się pannie Katarzynie. Dobrze byłoby z nią ożenić się: ona ładna i w dodatku ma sto tysięcy.... byłoby za co pohulać! Ależ myślmy o dniu dzisiejszym... Ja dziś od rana nic nie jadłem! Jakiś fatalny dzień dla mnie, spodziewałem się zastać jaką ucztę u pani Janowéj, a tymczasem przybyłem tu, aby skazać się na głodne czaty. To tak być nie może! Nieszczęście zaczyna mnie prześladować: zwykle po zbytku dolegliwości, następuje przesilenie, może i u mnie nieszczęście przesili się. Ja dziś dzień cały nie jadłem, to może w wieczór czeka mnie dobra kolacja. Ale od kogo? Familja Nużków to skąpcy, ladaco, a wreszcie i u nich bieda. Ha! rzecz ciekawa, kto mi dziś sprawi kolację?... a może nieboszczyk radzca!

I Zefir zamyślony o kolacji, przechadzał się po pokoju; poszedł pod okno, wyjrzał przez szybę na ulicę, lecz zbytecznie nie pokazywał się na zewnątrz, wiedząc jaki efekt sprawiłby dla publiczności.

Ludzie gromadzili się na ulicy, dla Zefira nie był to nowy widok. Odszedł od okna, przeszedł się po pokoju, obejrzał szafę kupioną tego poranku przez panią Wojciechowę i tam postawioną—otworzył ją, była pustą; poszedł do wielkiego kosza, i w myśli, że on także pusty—otworzył jego wieko.

Tym razem Zefir zawiódł się:

W koszu tym leżały ułożone kapelusze, czepeczki i stroiki kupione przez panią Wojciechowę także dzisiejszego poranku dla siebie i dla swoich dobrych znajomych z małego miasteczka. Leżały te stroje cokolwiek w nieładzie, pod niemi nawet stały owinięte dwa garnki z powidłami, przywiezione w podarunku, jednakże ten nieład w niczem nie szkodził strojom, i takowe lekko wsparte na sobie, nie

gniotły się wzajemnie. Zefir szanował ten wzgląd, i mimowoli dotknął jakiegoś niekształtnego worka leżącego na uboczu. Zaraz poznał, że to były prowianty; wyjął worek z kosza i zajrzał w jego wnętrze. Była tam szynka wędzona, dwie kury i indyk pieczony, a nadto dwa bochenki chleba wiejskiego, garnuszek masła i krążek sera.

Zasoby te przywiozła ze sobą p. Wojciechowa, a że to było w dnie postne, przeto przy bieganiu swem po mieście, zapomniała o prowjantach przeważnie mięsnych. Leżały one spokojnie w koszu, w czystéj płóciennéj torebce, i doczekałyby się Niedzieli, gdyby je Zefir wcześniéj tam nie znalazł.

— Ach! zawołał teraz. Otóż moja kolacja! Ja wiedziałem, że dziś będę miał dobrą kolację. Ale to należy zapewne do téj pani przyjezdnéj, a co na to powie pani Janowa?... E! co tam myśleć o jutrze, kiedy chce mi się jeść dziś jeszcze... wreszcie, któżby na takiego panicza jak ja, miał podejrzenie że mu co wyjadł!... A może nieboszczyk radzca to pozjadał? Co tam o tem myśleć! Czy możemy wiedzieć co jeszcze do jutra z całym tym koszem się stanie? Wrócę na swoje stanowisko, odniosę worek i garnuszek, ale co w nich jest, to moje!

I co zamyślił, to dokonał. Zabrał worek, wyszedł z pokoju nawiedzonego i zamknął drzwi na klucz za sobą—następnie udał się do swego pokoiku na trzecie piętro, gdzie spożył ze smakiem wszystkie dary Boże, tak szczęśliwie znalezione. Obfitość prowiantów była dość znaczną, to też częścią ich zaspokoiwszy głód, schował resztę na jutro, bo i za dzień jutrzejszy nie można było ręczyć, czyli nie będzie tak feralnym jak dzisiejszy. Następnie Zefir przejrzał kąty swego mieszkania; w chwilach obfitości rzucało się w niém resztki niedopalonych cygar —w chwilach braku zbierało się te resztki czasowego państwa. I obecnie Zefir znalazł jakieś pół cygara, a owinąwszy je w papier, zapalił i wyszedł na swoje stanowisko. Wychodząc, zabrał ze sobą próżny woreczek i próżny garnuszek po maśle.

Na schodach posłyszał głosy pań wracających od asesora. Wypadało wstrzymać się na chwilkę, poczem Zefir przeszedł szybko schody, otworzył drzwi pokoju nawiedzonego, i wrzucił próżny woreczek z próżnym garnuszkiem do kosza, na poprzednie miejsce.

Zefir przybył tu przepędzić samotnie wieczór, aby dogodzić przez to zachceniom panny Katarzyny. On nie wierzył w strachy, i rad był dojść, co tu powodowało ukazywanie się i niknienie światła. Przysięgom stróża wi-dzącego nieboszczyka, nikt nie dawał wiary—na asesora nikt nie miał podejrzenia. Domyślano się jakiegoś odbijania się światła z kościoła naprzeciw będącego, albo też psoty jakiego figlarza. Ależ ten szmer sprawiany, te bose stopy....

Nikt nie wierzył w powrót nieboszczyka, a jednakże każdy obawiał się, sam nie wiedząc czego. Wielu lotarorów tego domu wybierało się na obławę na tego ducha, i w tym celu klucz od pokoju nawiedzonego był u pani Janowéj.... ale jakoś schodziło na dobrych chęciach, na odgróżkach.

Zefir teraz wypalił swoje cygaro, wyjrzał oknem, ale publiczności już nie było na ulicy. Wszyscy rozeszli się do domów.

Pokój nawiedzony zalegała ciemność.

Zefir usiadł na koszu, myślał o tem, że ta pani przyjezdna dobrzeby była zrobiła, przywożąc ze sobą parę butelek piwa bawarskiego i paczkę cygar... ale tego brakowało w koszu.

Zefir nudził się sam jeden w pustym i ciemnym pokoju.

— Kto by to był sprawcą tego światła niknącego? rozmyślał znów. Pan Nużka ma podejrzenie na asesora szukającego tu pieniędzy po nieboszczyku radzcy... Jeśli on przychodzi tu ze swego pokoju, czemuż tego za dnia nie robi?... Może też lęka się, aby ktoś z pragnących wynająć to mieszkanie, nie zeszedł go tu nagle, gdy tymczasem w porze wieczornéj słyszy szmer zbierających się tu lokatorów.

— Ach! jak tu twardo siedzieć, myślał znów. Czyli w tym koszu nie ma jakiéj poduszki?....

I Zefir otworzył kosz, ale w téj chwili szmer wyraźny dał się słyszeć od strony drzwi prowadzących do pokoju asesora.

Otwieranie tych drzwi sprawiało lekki szmer, a zarazem światło poczęło napływać do ciemnego pokoju.

— To asesor! pomyślał Zefir. Co on tu robić będzie? Wypada gdzie ukryć się, aby go wyśledzić!

I Zefir nie mając czasu do namysłu, skoczył do kosza, aby z tego ukrycia wypatrzeć czynności asesora.

W saméj rzeczy nasz poczciwy asesor po trudach wielu wieczorów i nocy, wyrobiwszy niepotrzebnie wiele dziur w kominku, wyważywszy wiele cegieł—postanowił raz jeszcze dzisiejszego wieczoru uczynić ostatnią wyprawę po zdobycie złotego runa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XXII, Kółka Domowego 1867.



Wzór kaptura.

Kaptur ten, jak widzimy na rysunku, robi się z kaszmiru białego, a obszywa szczoteczką czyli riuszą z błękitnéj lub różowéj wstążki atłasowéj. Nie powinien być watowany, ale tylko podszyty różową podszewką, gdyż przeznaczeniem jego jest okrywać głowę ustrojoną, a więc lekkim być powinien.

Kaptur, którego formę dodaliśmy do poprzedniego poszytu naszego pisma, powinien być watowany. Część czwarta formy nieobjaśniona w przeszłym poszycie, wązka, podługowata znaczy połowę formy kapelusikowéj, na któréj się przytwierdza cały kaptur. Jest ona z czarnego tiulu obszyta drutem; na niéj przyszywają się boki i wierzch, którego ząbki opatrzone bąbelkami powinny zachodzić u góry aż na kolorowy aksamit, który za podpięcie służy, tak, żeby bąbelki aż do czoła spadały, drugim zaś brzegiem swoim to jest dolnym, powinien równać się z brzegiem karczka, czyli tenże karczek cały pokrywać. Pikowanie powinno być tylko ze złéj strony, wierzch zaś gładki, gdyż kaptur ten przypominać ma kapelusz.

Forma peleryuki zwanéj *Marji Antoniny*.

Pelerynka ta, któréj formę dodajemy do niniejszego poszytu, powinna się tak krajać, żeby końce były z jednéj sztuki z przodem. Wtedy tylko kiedy już inaczéj nie można, krają się osobno, tak jak nasza forma wskazuje. Pelerynka ta kładzie się do sukien pod szyję, robi się z takiego samego jak suknia materjału i wtedy obszywa się podobnąże falbanką, wybijaną w zęby, lub z tiulu czy koronki tak białych jak czarnych i wtedy jeszcze strojniéj wygląda. Końce wiążą się na kokardę z tyłu.

Krój ten jako jeden z najmodniejszych polecamy naszym czytelniczkom.

O UBIORACH.

Na chłodną jesienną porę, jaka obecnie panuje, bardzo stosowne są szale. Piękny szal francuzki stanowił też po wszystkie czasy, gustowne dopełnienie toalety wizytowéj, ale oprócz tych wyrobów mamy inne coraz to liczniejsze. Począwszy od tartanu taniego, na sześć rubli, który odziewa oszczędną gosposię, są drogie, wykwintnego gatunku, które do 30 rubli i wyżéj w cenie dochodzą. Te szale dają się kłaść podłużnie, co pierwszym grubym bynajmniej nie uchodzi. Nasze panie znajdują, że ten róg wiszący z tyłu, jest już zbyt pospolity i że tak składa swój szal każda szafarka, więc, jak powiedzieliśmy, wkładają szal podłużnie, spinając go z przodu u szyi, a dwa końce przedłużające się po bokach, podtrzymują rękoma. Tak włożony szal wygląda krócéj z tyłu i jest równo ucięty jak paletot. My, musimy wyznać, że figurkom zgrabnym jest w tem ładnie jak we wszystkiem.

Jakkolwiek donosiliśmy, że suknie krótkie o dwóch spódnicach nawet odmiennych są w używaniu, nie radzimy ich jednak ani zbyt tłustym, ani poważnym wiekiem osobom. Dla tych stosowniejszą będzie suknia do ziemi, chociaż i owe dolne spódnice nie są dziś tak impertynencko jaskrawe, jak były dawniej. Czerwone lub pomarańczowe medaliony czy falbanki, tak modne przed trzema lub dwoma jeszcze laty, dziś się już nazywają w złym guście, teraz bowiem spódnica, jeżeli jest odmienna, powinna być czarnego albo ciemnego koloru, takież same dwie lub trzy pliski ukośne mają otaczać ją u dołu, a co jedynie pozwala się tam jaskrawego, to wąskie wypuszczenie po dwóch stronach plisek: pąsowe, pomarańczowe lub szafirowe.

Ubrania sukni coraz bardziéj przypominają czasy naszych babek i prababek. I tak widzieliśmy suknię jedwabną popielatą, mieniącą się biało, z wystrojem liści z zielonego atłasu. Liście te podługowate spiczaste, układane jak ziarka w kłosie, rozchodzą się na przodzie od paska trzema wieńcami, rozszerzając się ku dołowi. Takież same wieńce otaczają rękawy u ramion i ręki, pasek zaś równie z atłasu, ma takie same szerokie szarfy z tyłu zakończone frendzlami. Druga suknia z białego fularu, ogarnirowana była u samego dołu takąż bufą, po nad którą szła średniéj szerokości falbana, wycięta w zęby obszyte wstążeczką ciemno lila, z tego koloru srebrzystego, co pięknie przy świetle wygląda. Takaż wstążka lekko przemarszczona, umieszczona była nad falbaną. Stanik wycięty z krótkiemi rękawami ubrany był bertą tegoż koloru co wstążeczka u falbany. Do tego z tego samego materjału pasek i baskina w kształcie chusteczki, zczepiona z paskiem z boku prawego, gdzie na dół spada róg chusteczki, z lewego zaś gdzie wypadają końce, opuszczające się na dół tak, że między nią a paskiem widać suknię, w tém właśnie miejscu gdzie jest utworzony z nich węzeł. Węzeł ten, czyli raczej jedno przewiązanie, od którego spływają długie szarfy zdobi niezaprzeczenie suknie, ale trzeba do tego zgrabnéj kibici, pięknego spadku bioder, inaczéj źle się wydawać będzie. Zapomnieliśmy dodać, że tak berta jak i baskina winny być obszyte frendzlą.

Druga suknia powłóczysta i gładka nawet z tyłu, była szafirowa wełniana, naszyta rulonami nieco ciemniejszego atłasu w taki sposób, że okala-

jąc cały dół sukni podnosiły się na każdym brycie i niedochodząc do wysokości palca, kończyły się w kant grubego deseniu. Rękawy do téj sukni były szeroko roztwarte, zakończone spiczasto, zwane chińskiemi.

Suknia jedwabna do ziemi także bez fałdów miała dwie spódnice; z tych dolna ogarnirowana dwoma falbankami w kontrafałdy, zwierzchnia, rozcięta do saméj góry, po dwóch bokach i obłożona w około i po bokach na dwa palce szerokości atłasem, tak samo jak i obie falbany. Dwa rozcięcia zwierzchniéj spódnicy, spięte były kokardkami ułożonemi w motylki z atłasowéj wstążki. Pasek z atłasu, a z takiéj saméj jak suknia materji; wycięte zęby objęte atłasem znaczą na staniku pod szyję kształt gorsecika, na osadzie ich czyli na stronie równéj, przeciwnéj zębom jest pliska atłasowa, tylko węższa od téj co u falban. To ubranie bardzo eleganckie daje się zębami do góry, a podobnež epolety zębami na dół, to jest na rękaw który jest wąski, tąkże zębami u ręki ozdobiony.

W Paryżu niektóre z pierwszych zakładów przedmiotów mody, usiłują zwrócić ją ku prostocie, odrzucają więc wszelkie kosztowne garnirowania sukien i paletotów. Oglądaliśmy suknię wyszłą z jednego takich zakładów; miała dolną spódnicę jasno lila bardzo powłóczystą, bez żadnego obszycia jak tylko sznurek zwyczajny; na niéj suknia krótsza lecz równie z tyłu przedłużona, ciemno lila, była wycięta razem z mocno wygorsowanym gorsecikiem obcisła nadzwyczaj, z tych co to francuzi nazywają *fourreau*, spięta na rzęd dużych szmuklerskich guzików, które szły aż pod brodę spinając oba staniki, pospieszamy bowiem dodać, że z pod gorsecika wychodził stanik pod szyję z rękawami wąskiemi, z materji jasnéj, jak dolna spódnica, zwierzchnia zaś przy gorseciku żadnych nie miała rękawów.

Na sukienkę dla dziewczynki taki pomysł podamy: suknia gładka niebieska lub ze szkockiéj w kraty flanelki, ubrana w około szeregiem spiczastych zębów z aksamitu, sterczących do góry, a obszytych wąską koroneczką; takież same tylko węższe zęby rysować powinny gorsecik na staniku pod szyję, rękawki obcisłe również zębami aksamitnemi obszyte.

Eleganckie ubranie dla chłopczyka robi się z białego kaszmiru. U krótkich szerokich spodni przyszywa się wzdłuż szwu, od dołu, po trzy guziki aksamitne. Takież same guziki zdobią rękawy i przód również białéj kurtki.

Winniśmy donieść naszym czytelniczkom o kapeluszach eleganckich a nie drogich, jakie wyrabia p. Aurelja, która przeniosła swój magazyn mód o kilka domów daléj, lubo także na Krakowskie Przedmieście do domu położonego wprost gmachu Dobroczynności, pomiędzy dwoma sklepami rękawiczniczemi. Oglądaliśmy tam fasony kapeluszy takie, jakie się znajdują w najpierwszych magazynach, cena zaś ich jest umiarkowańsza. Dla osób lubiących wygodę i ciepło są tam ładne kapelusze z *bridami* aksamitnemi, dla młodziutkich okrągłe z piórkami. Ma śliczne ozdoby na głowę z bursztynu i korali, czepeczki lekkie lub poważne, berty wystrojone wstążkami. Na obstalunek zaś robią się suknie i okrycia.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Fryzowanie piór.

Przeciąga się je nad rozżarzonemi węglami, posypanemi miałkim cukrem a same kurczyć się będą.

Zdejmowanie rdzy z metalów.

Posmarować oliwą i tak godzinę przedmiot zardzewiały zostawić, potem wziąść na sukno miałko utłuczonego i przesianego cynobru i wycierać.

Czyszczenie pozłacania na metalach.

Jeżeli nie puszcza od zwyczajnego piwa, to wziąść soli amoniackiéj łyżkę stołową, zmieszać z półkwartą uryny i w tem przedmiot zanieczyszczony gotować z pół godziny, a będzie jak nowy.

Przywracanie poloru rzeczom pozłacanym zarówno na drzewie, jak na metalach.

Dwie uncje kremortartari, dwie uncje siarki, cztery uncje soli kuchennéj; gotować to w kwarcie mieszaniny z wody miękkiéj i uryny wziętych po połowie. W tym płynie macza się przedmiot pozłacany, przez co nabiera pierwotnego poloru.

Tę samą mieszaninę można zrobić dodając zamiast soli, cztery uncje żółci bydlęcéj — zresztą wszystko jak poprzednio.

Sposób pozłacania srebrnych i miedzianych rzeczy, używany przez anglików.

Dwie uncje gumilaki, dwie uncje bursztynu żółtego, 40 granów sandragonu łzawego, 1/8 łuta szafranu, 40 uncji dobrego spirytusu winnego. Niech moknie w ciepłem miejscu aż do rozpuszczenia — przecedzić przez płótno i zachować w butelce korkiem zatkanej. Gdy potrzeba użyć tego płynu, trzeba rozgrzać naczynie przeznaczone do odzłocenia, tak mocno żeby ręka zaledwie wytrzymać mogła. Gdy się zanieczyści, obmyć letnią wodą.

Sposób pozłacania bez złota rzeczy miedzianych i srebrnych, podany przez p. Pingeron.

Wziąść dwa garczki małe, gliniane, dobrze polewane; w jednym z nich zrobić dziurkę małą we środku dna i przez nią przeprowadzić maleńką kopystkę drewnianą tak, aby nią można poruszać. W dolny garczek wlać mieszaninę z sześciu uncji oleju lnianego czystego, z uncji mastyxu, z uncji aloesu, zamieniwszy to wszytko poprzednio w proszek jak najmielszy. Garczek z kopystką postawić na tym któren mieszaninę zawierał, zlepić obadwa z sobą gliną i pokryć nią oprócz tego cały garczek. Gdy się zacznie gotować, mieszać ciągle aż pomiarkujesz, że się wszystko rozpuściło, wtedy zdjąć z ognia, a gdy zupełnie wystygnie, rozlutować garczki. Pozłota jest gotowa. Można nią powlekać przedmioty srebrne lub miedziane doskonale oczyszczone.

Tak pozłacają w Anglii bardzo wiele rzeczy, mianowicie serwisy stołowe,



KÓŁKO DOMOWE

grudzień 1866 r.